

Przeszłość w moim domu

Antoni Pyszczek

Historia kamienicy przy ulicy Różanej na warszawskim Mokotowie jest niejasna. Jako osoba zafascynowana samym Mokotowem dotarłem jednak do kilku archiwalnych zdjęć i paru lakonicznych informacji o samym budynku: kamienica powstała około 1938 r., a jej mieszkańcem był Ryszard Kamoda, cywilna ofiara Powstania Warszawskiego¹.

W kamienicy funkcjonuje wspólnota mieszkaniowa, której nieformalną, jak mi nie mam, głową jest właściciel funkcjonującej na parterze pralni. Z odbytych przeze mnie rozmów z sąsiadami dowiedziałem się, że jest on prawdopodobnie potomkiem dawnego właściciela budynku. Nie jest on jednak darzony wśród mieszkańców szacunkiem ze względu na dosyć autorytarne zarządzanie sprawami administracyjnymi dotyczącymi kamienicy.



Fot. 1. Źródło: www.odkrywcaWarszawy.blogspot.pl

Kamienica jest częścią krótkiej pierzei ciągnącej się od skrzyżowania z ulicą Michała Bałuckiego do przecinającej Różaną ulicą Wiśniową. Budynek posiada cztery piętra, na każdym znajdują się po dwa mieszkania, jednakże na każdym piętrze są cztery pary drzwi wejściowych. Spowodowane jest to specyfiką kamienicznego budownictwa lat trzydziestych: jedno wejście prowadziło do części mieszkalnej, a drugie gospodarczej składającej się z małej ubikacji, łazienki i małego pokoju o metrażu 6m².

Kamienica zamieszkiwana jest przez osoby starsze i ich rodziny wywodzące się z niższej klasy średniej, w dwóch przypadkach skład lokalu jest więcej niż dwupokoleniowy. Z tego porządku wyłamują się dwa lokale na parterze: w pierwszym bowiem funkcjonuje prywatny,

¹ <https://odkrywcaWarszawy.blogspot.com/2017/07/budynek-ul-rozana-25.html> , dostęp 07.04.2020

kameralny żłobek, a drugi do lutego 2020 r. wynajmowany był trzem studentom. Właśnie to mieszkanie jest przedmiotem mojej pracy.

Obecnym właścicielem lokalu o numerze trzecim jest sześćdziesięcioletni mężczyzna prowadzący okoliczny warzywniak. W posiadanie tego mieszkania wszedł, jak sam twierdzi, zaprzyjaźniając się z jego poprzednią właścicielką. Ta samotna kobieta w podeszłym wieku często odwiedzała warzywniak, a w trakcie ciężkiej choroby korzystała z pomocy obecnego właściciela, który oferował przynoszenie zakupów i pomoc w codziennych obowiązkach. Przyjaźń ta zaowocowała przekazaniem mu mieszkania na łożu śmierci.

W październiku 2018 roku dołączyłem do grona najemców mieszkania pod numerem trzecim. Mieszkaliśmy w nim w trójkę: ja, student pierwszego roku socjologii na Uniwersytecie Warszawskim, T., student Szkoły Głównej Handlowej i M., który porzucił naukę w drugiej klasie liceum ogólnokształcącego z myślą o założeniu własnej firmy. Cała trójka jest przedstawicielami klasy wyższej średniej lub wyższej: indywidualne decyzje o wyprowadzeniu się z domu rodzinnego nie były w żadnym z wypadków umotywowane powodami finansowymi, zmuszającymi nastolatków do ulżenia rodzicom i podjęcia własnej pracy zarobkowej, czy pomocy w utrzymaniu rodzinnego gospodarstwa domowego. Jest to tyle istotne, że świadomość posiadania niejakiej finansowej siatki zabezpieczającej przed upadkiem rozpiętej przez rodziców znacząco wpływała na podejście do samodzielnego mieszkania, jak i mieszkania jako własności materialnej: głównym źródłem utrzymania wszystkich lokatorów było zabezpieczenie przez rodziców.

Mieszkanie składało się z trzech zamykanych, nieprzechodnych pokoi, rozdzielonych pomiędzy domowników, łazienki, ubikacji, kuchni i długiego korytarza, będącego społecznym centrum codziennego funkcjonowania lokalu. Gruntowny remont mieszkania został przeprowadzony przez T. i M. Z wykorzystaniem własnych nakładów finansowych i w pełnej dowolności pozostawionej im przez właściciela mieszkania. Stąd niespotykane w mieszkaniach zamieszkiwanych przez rodziny czy osoby dorosłe rozwiązania, takie jak wysoki, barowy blat w kuchni (fot 2.) czy olbrzymia kanapa, uniemożliwiająca w zasadzie swobodne przemieszczanie się po korytarzu (fot. 3.).



Fot. 2 - kuchnia

fot. 3 - korytarz



Innym powodem takiego intrygującego umeblowania i rozplanowania przestrzeni był fakt, że poza mną, każdy z domowników dysponował dużym metrażowo pokojem (około 20 m²) co zapewniało komfortową przestrzeń do wypoczynku, pracy i nauki. Przestrzenie wspólne pełniły więc funkcję świetlicy, a w związku z bliskimi relacjami wszystkich domowników nie zostały zamienione w *przestrzeń niczyją*, służącą jedynie za drogę do swojego pokoju.

Codzienne obowiązki rozdzielone były w sposób następujący: części wspólne mieszkania zostały podzielone na trzy obszary; korytarz, łazienki i kuchnia. Każdy z domowników zobowiązany był do gruntownego posprzątania oraz regularnego doglądania jednego z tych obszarów przez okres jednego tygodnia. Po upływie tego czasu następowała zmiana i dostawało się pod opiekę następnę z pomieszczeń. W połowie okresu wynajmu wprowadzona została zasada zdawania posprzątanego obszaru i wymóg zatwierdzenia jego stanu przez osobę obejmującą nad nim pieczę. Został również wprowadzony przepis karzący osobę, która nie posprzątała swojej części karą dziesięciu złotych, umieszczanych w komisyjnym słoiku znajdującym się w pokoju M. Należało czerpać z niego w przypadku dokonania zakupu chemii domowej, ale jedynie przy okazaniu M. paragonu z zakupów. Nie wynikało to jednak z braku zaufania do siebie nawzajem, a z wyjątkowej skrupulatności M. w sprawach finansowych.

Jak już wspomniałem, głównym centrum życia towarzyskiego był korytarz wraz ze stojącą w nim kanapą. Powodem takiego zlokalizowania *świetlicy* była bliskość drzwi wyjściowych, co ułatwiało swobodne wychodzenie na papierosa podczas towarzyskich posiedzeń. Kuchnia również spełniała od czasu do czasu tę funkcję, jednak każdy z nas podświadomie kierował się w stronę korytarza, ze względu na wychodzące na ulicę okna (mieszkanie znajduje się na parterze), przez które niezadowolony z zakłócania ciszy nocnej sąsiad raz po raz wykrzykiwał w naszą stronę kąśliwe uwagi. Innym powodem była obecność sprzętów AGD, które znacznie utrudniały aranżację miejsc siedzących dla często zmieniającej się liczby gości.

Między lokatorami panowały bliskie relacje przyjacielskie. Daleko nam było do modelu wynajmowanego mieszkania i jego *przestrzeni niczych*, gdzie mieszkańcy widują się jedynie przy wychodzeniu do pracy, bądź w kuchni. Poszczególne pokoje w naszym mieszkaniu były wyposażone w zamki, ale zamykane były sporadycznie, tylko w przypadku wizyty dziewczyny

jednego z nas. Podczas nieobecności lokatorów pokoje nie były zamykane, ze względu na luźne podejście do własności i swobodne pożyczanie artykułów biurowych, ubrań, czy nawet elektroniki. Nie zauważyłem także specjalnego przywiązania do jakiegokolwiek zakazu przebywania w cudzym pokoju: nie raz spędzaliśmy wspólnie-oddzielnie czas w jednym pokoju nie odzywając się do siebie pochłonięci nauką czy lekturą. Zaufanie, będące podstawą takiego stanu rzeczy wynikało głównie z rówieśniczego wieku, ale również brakiem większych konfliktów między domownikami. Sporadyczne sprzeczki miały charakter napiętej atmosfery poprzedzonej krótką wymianą zdań i były spowodowane różnicami w podejściu do obowiązków domowych i tymi na tle politycznym. Nie jestem w stanie przypomnieć sobie innego tła dla naszych kłótni. Oto co na temat samego mieszkania i atmosfery w nim panującej napisał jeden z naszych przyjaciół, od roku wynajmujący mieszkanie w Lublinie: *Nie wiem, dla mnie fajne było to, że sobie gadaliście wszyscy, bo np w porównaniu z tym moim mieszkaniem w Lublinie i z tymi laskami co mieszkam to się czuje że jest, nie wiem, jakaś nieufność jak laska wychodzi do kibla i zamyka pokój na klucz.*

Mieszkanie było, z racji swojej lokalizacji i dużego metrażu, centrum spotkań towarzyskich trzech kręgów znajomych. Wstęp do niego był swobodny dla naszych znajomych; zdarzało się, że grupa przychodziła z wizytą pod nieobecność jednego z nas i spędzała czas z innym lokatorem lub sama w korytarzu. Ciekawym okresem w naszym wynajmie było kilka miesięcy, podczas których funkcjonowało w naszej kuchni amatorskie studio tatuażu znajomych jednego z nas. Życie domowe nie ulegało wtedy zmianie, ale w kuchni przebywało jednocześnie kilka, czy nawet kilkanaście osób, (również obcych nam - w roli klientów). Rodziło to szereg zabawnie groteskowych sytuacji, podczas których odwiedzający T. młody adept programowania na Politechnice Warszawskiej wchodził do mieszkania, w którym tatuował się bez koszulki obcy osobnik o posturze kulturysty.

Więź pomiędzy lokatorami przekładała się również na ich znajomych. Nasze mieszkanie będące często miejscem wszelakich imprez, zbliżało do siebie osoby z różnych środowisk, często do dziś utrzymujących wspólne kontakty.

Mieszkanie przy Różanej było dla każdego z nas pierwszym mieszkaniem po wyprowadzce z domu rodzinnego. Samo w sobie, jako przestrzeń będąca podmiotem rynku mieszkaniowego, odbiegało w wielu sferach od normy: wyraźnie zaniedbane przez właściciela, nieumiejętnie wyremontowane i urządzone przez nas nie było mieszkaniem, w którym dało się *de facto* mieszkać; w mojej opinii było raczej niejakim buforem pomiędzy mieszkaniem z rodzicami, a mieszkaniem prawdziwym, godnym dorosłego mężczyzny. Jestem przekonany, że żaden z nas nie traktował go jako *swojego*, ze względu na efemeryczny charakter instytucji wynajmu oraz na fakt, że każdy z nas mógł w każdej chwili swobodnie zwrócić się do swoich rodziców o pomoc, czy nawet u nich zamieszkać. Nie chciałbym jednakże sprowadzać go do roli przestrzeni imprezowo-noclegowej; więź jaką z nim nawiązaliśmy i stopień zaangażowania w nie sprawia, że okres wynajmu był dla każdego z nas wartościowym i unikatowym przeżyciem. Doświadczenie mieszkania w tym miejscu, z takimi współlokatorami sprawiło, że okres ten był dla mnie bardzo ważnym etapem socjalizacyjnym; był niejakim obrzędem przejścia, inicjującym mój okres dojrzałości.